ROK TRZECI.

№ 7.

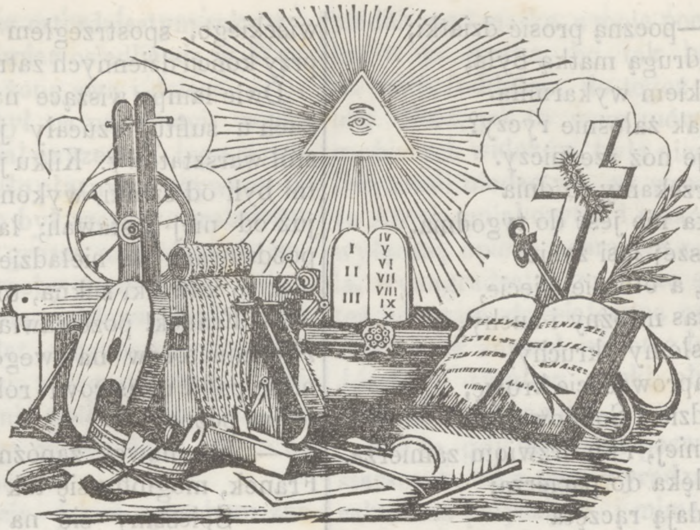
Warszawa.

Dnia 2 (14) lutego,

1858.

Niedziela

Pięćdziesiątnicy czyli Zapustna.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Modlitwy nasze, prosimy Cię Panie! racz łaskawie wysłuchać, a z więzów grzechowych wyrwawszy, od wszelkich nieszczęść nas przechowaj. (Kollekta na Niedzielę Pięćdziesiątnicy czyli Zapustną).

Ostatnia krówka.

—

Po długich leciech obfitości błogiéj
Przyszedł na ludzi czas cięźki i srogi:
Gorąca wiosna upały skwarnemi
Spaliła ziarno kiełkujące w ziemi,
I w owe piękne w jesieni nasiewy
Wyrosły ciernie, chwasty i kostrzewy.
Głód straszną klęską zagrażać poczyna,
A lud utrapion do Marji Syna
Biegnie ze łzami, i błaga gorąco:
—Powstrzymaj Ojcze! prawicę karzącą,
My dzieci Twoje, a biedni i sami,
Usłysz wołanie, zmiłuj się nad nami!
Lecz Pan do głębi wiarę swego ludu
Chce wypróbować, śród bólu i trudu;
Więc spiekłéj ziemi pogodne niebiosy
Nie ślą ni deszczu, ani kropli rosy,
I nędza w chatach, a chociaż do pracy
Za lichą cenę garną się biedacy,
Grosz nie wystarcza na kawałek chleba,
Cięźka ubóstwo przyciska potrzeba.
Z małej, w dolinie położonéj wioski
Ufając ludzkiej pomocy i Boskiéj,
Biedni kmiotkowie w śniegi i zamiecie
Rozbiegli żebrać po szerokim świecie;
I z licznej niegdy włościańskiéj gromady
Dwaj jeno w chatach zostali sąsiady
Z żonami, dziatwą: Bartłomiéj i Sobek,
Pracując ciężko na lichy zarobek.
Wszak po dniach kilku nie stało roboty,
Oj! co my poczniem nieszczęsne sieroty?
Powie Bartłomiéj, wracając do chaty;
Przyjdzie wziąć łachman, torbę, kij sękaty
I na żebraczkę daléj za innemi,
Od chaty ojców, od rodzinnéj ziemi!
— Nie trwożcie próżno, cieszy go niewiasta,
Wszak nam została graniatka łaciasta;
Weźcie ją na targ, a skoro zapłacą,
Będzie dzieciskom chleba kupić za co.
Biedniejsze oto niebogi Sobkowe,
Toż Bartłomieju damy im połowę;
Z uboższym człeku! podzielić się godzi,
Czyn miłosierny Pan Bóg wynagrodzi.
—O matuś droga! ostatniéj graniatki

Nie sprzedawajcie—poczną prosić dziatki;
Onać nam zawdy drugą matką była,
Od pacholęcia mlekiem wykarmiła.
Słyszycie matuś, jak żałośnie ryczy?
Ona nad sobą czuje nóż rzeźniczy.
O tatuleńku! przyrzekamy co dnia
Prócz trochy mleka nie jeść do tygodnia,
Jeno zostawcie naszéj łosi życie.
—Gadacie próżno, a oto nie wiecie,
Ofuknie matka, czas mroźny i suchy,
A tu ni ziarna, ni słomy okruchy;
Idźcie Bartoszu, zaprowadźcie krowę,
Pożywim siebie i dzieci Sobkowe.
Westchnął Bartłomiej, i ku drzwiom zamierza,
A dziatwa naraz klęka do pacierza;
Unoszą oczy, składają rączęta
I proszą: Marjo! Panieneczko święta,
Pocieszycielko smutnych, utrapionych,
Błądzących, ciemnych, nędzą przyciśnionych!
Wejrzyj i ku nam z wysokiego nieba,
Kęs powszedniego racz nam spuścić chleba.
Bartłomiéj stoi, i pobożnie słucha,
Dziwna mu serce pokrzepia otucha,
Niewiasta kornie przyklęka u progu
I modły dziatek polecają Bogu;
A gdy skończyli, głos do chaty płynie:
—Dzieci! kto ufa Panu, nie zaginie;
Nie zginie w puszczach i przepaściach morza,
Nad wiernym zawsze czuwa ręka Boża.
Bartłomiejowie i dziatwa zdumieni
Powstają, biegną co żywo do sieni,
Dziw! we drzwiach leżą pełne ziarna wory;
Krówka wesoło patrząjąc z obory,
Żuje pęk świeżo porzuconéj strawy.
Przez dobrych ludzi, Bóg to im łaskawy
Zesłał swą pomoc; bo kto prosząc szczerze,
Wytrwa statecznie w miłości i wierze,
A kęs ostatni rad z bratem podzieli,
Temu posłowie niebiescy, anieli
Przez serca bliźnich pod ubogą strzechę
Niosą serdeczną radość i pociechę.

Nigdy zapóźno. (1)

—

Jakoś w połowie listopada r. 1855, już wieczorem, wszedłszy do pewnego warsztatu krawieckiego, spostrzegłem tam ruch, zwyczajny przy końcu dziennych zatrudnień.

Dwie lampy wiszące na metalowych łańcuszkach u sufitu, rzucały jasne światło na długi stół warsztatowy. Kilku jeszcze czeladzi, co płatni byli od sztuki, wykończali swą robotę, inni już od niéj wstawali; ławki téż od stołu były poodsuwane w nieładzie. Chłopcy sprzątali to nici, to kawałki sukna, to inne przedmioty.

— Franek! pozestawiaj żelazka, woła jeden z terminatorów na swego współkolegę; ja odniosę panu majstrowi robotę. Spieszmy się, bo to już późno.

— Już nawet zapóźno! odparł niechętnie Franek, mogłoby się tak do jutra zostać.

— Spieszmy się na kolacyą! mówi jeden z czeladzi do swego towarzysza wykończającego jakąś stębnówkę, spieszmy się, bo późno, może nas już czekać nie będą.

— Miałem odwiedzić Piotra, mówi inny, ale już tak późno.

— Co znów? ktoś zawołał: *Późno* i *zapóźno*! Nigdy zapóźno!—ja niegdyś byłem tego zdania, ale teraz inaczéj jestem przekonany.

— Ach! nasz fater Jakób, zawołało kilka głosów; opowiedzże nam to zdarzenie.

— Pierwszy raz, dodał ktoś ciszéj, nasz Wszędobylski przyznaje się do przegranéj sprawy.

— Nigdy zapóźno! moje dzieci, jak widzicie mnie starego, przed którym niema żadnéj nadziei, tak ręczę wam, że mógłbym jeszcze wyjść na kapitalistę lub na uczonego, i na wszystko w świecie, gdybym tylko ducha miał w sobie, i stałą wolę—jeszcze mi nie zapóźno!

— Zapóźno po śmierci wędrować! wtrącił żartobliwie Franek.

Wybuch śmiechu nadał wesołość gawędce, a Franek przesunąwszy się na drugi koniec stołu, krył się tylko ze śmiechem, pewnym będąc pobłażania czeladzi, za dowcip stosowny do okoliczności. Obawiano się tylko gniewu Jakóba.

— Zaraz dowiodę wam tego, rzekł Jakób, i tobie łotrze mały, dodał nieco żywiéj, bo i o takim jak ty figlarzu będzie mowa. Zobaczysz, jakie następstwa są z figlów, a jakie z dobréj chęci. Otóż tak się stało:

Przed dziesięcią laty, do warsztatu przy ulicy Długiéj, wszedł na robotę z mej rekomendacyi wędrowny czeladnik, Józef, rodem z Kali-

(1) Artykuł ten nadesłał p. Karol Broszkiewicz majster krawiecki przy ulicy Trębackiéj, ten sam, którego był drukowany w Czytelni z r. 1856 w nr. 13 artykuł: *Wieczór karnawałowy.*

sza, który będąc już w czterdziestym roku życia swego, powziął zamiar osiedlić się w Warszawie i sprowadził tu żonę swą i dzieci.

Józef wychowany był na prowincyi, wydoskonalić się więc nie miał na czem. Z tego powodu w warsztacie był mało płatnym, używany do robót podrzędnych; ale był szczery, pracowity, dobrych chęci. Nigdy grosza naprόżno nie wydał, zaopatrywał potrzeby żony swéj i dzieci, był też i pobożny. Gdym się dowiedział, że Józef mając 40 przeszło lat, zaczyna uczyć się czytać i pisać, śmiałem się z niego z drugimi, a widząc, że przez to pragnie polepszenia losu, rzekłem mu: Jeśli tą drogą chcesz dojść swego celu, to bracie już ci zapóźno!

— Teraz posłuchajcie, jakim sposobem znalazł sobie nauczyciela.

— Nic łatwiejszego, wtrącił jeden z czeladzi.

— Zapewne! za kilka złotych miesięcznie, rzekł Jakób; ale łatwiéj waszeci dać kilkanaście złotych na miesiąc, co sam na siebie pracujesz, niż Józefowi kilka złotych, co pracą swą zaspokajał potrzeby żony i kilkorga drobnych jeszcze dzieci.

Między wami czeladzią, już to podobno we wszystkich rzemiosłach, istnieje ten naganny zwyczaj, że gdy tylko majster zdatnego i pracowitego weźmie chłopca na naukę, to dokuczacie mu wszelkiemi sposobami, aby go zniechęcić do swego kunsztu; bo już widzicie w nim ową zdatność, która idzie w pomoc majstrowi, już widzicie w nim przyszłego czeladnika, co wam chléb odbiera. W innych rzemiosłach wynajdują machiny, co sto rąk zastępują, i cóż ztąd?.. myślicie, że odebrało to komu chleb— przeciwnie, dziś dziesięć razy tyle rąk potrzeba co dawniej, aby kręcić się koło tych machin; a dlaczego? bo wyroby są dziesięć razy tańsze, więc kto żyje, to kupuje. Ręczę wam, że gdyby w naszym kunszcie dwa razy jeszcze tyle było czeladzi, to i dwa razy tyle bylibyście płatni, bo wszakże dawniej i połowy was tyle nie było, ale też i połowy tego czeladź nie zarabiała, co dziś; lubo dawniej majstrzy robili majątki.

— Ależ fatrze! zawołał jeden z czeladzi, jużeś nam powiedział słowa prawdy, to przynajmniej powiedz, kto był nauczycielem Józefa?

— Prawda—otóż do tego warsztatu, również z mej rekomendacyi, wszedł chłopiec do terminu, który ukończył pierwszą klasę powiatową przy ulicy Freta, i byłby dalej postępował, ale biedna jego matka, a moja poczciwa kuma zmarła, a ja Antka, bo tak było temu chłopcu na imię, oddałem do tegoż warsztatu na naukę. Otóż, jak to wam mówiłem, czeladź dla osobistych widoków, była niechętną dla chłopca. Dokuczali biedactwu, aż wreszcie Józef widząc, że Antek umiał czytać i pisać, wziął go pod swą wyłączną opiekę i zarazem za swego nauczyciela, wynagradzając go jużto swą protekcyą, już też jaką tam dziesiątczyną od czasu do czasu. Ale Antek znalazł wkrótce łaski u czeladzi, bo Józefowi tytułem nauki płatał figle, które i mnie nieraz ubawiły.

Źle to, gdy młodzież pozwala sobie żartów ze starszych, bo z tego wyradza się złośliwy charakter na przyszłość, i mimo woli gdy wyjdzie na wyrostka, staje się znienawidzonym od współkolegów— tego doświadczyłem na Antku. Wszakże i skłamać żartem, to fraszka, a jednak kłamiąc często dla zabawki, można wyjść na kłamcę; kto zaś kłamie, ten i kradnie. Tak to złe wady powstają z małych zdrożności, jak pożar z iskierki.

—I cóż on za figle płatał Józefowi? spytał Franek, w myśli zapewne, czy i on nie mógłby co podobnego zrobić.

— Ot zwyczajnie figle... Bywało uczył go, ale jak go on tam uczył, to Boże zmiłuj się; wszystko tam dążyło na przekorę. Kiedy już Józef syllabizował, to Antek przy czeladzi dał mu raz jakąś kartę drukowaną pofrancuzku— sam głośno przeczytał niby z niéj popolsku jakąś bajkę, co umiał na pamięć. Józef męczy się, męczy i nie może nic przeczytać... Antek szepcze do ucha czeladzi, o co rzecz idzie, wszyscy śmieją się, wmawiając w Józefa, że zapomniał syllabizować, że teraz nie potrafi zgłosek złożyć, że zapewne i liter pozapominał, a biedny Józef próżno jakiś czas się męczył. Gdy go znów uczył pisać, to zwykle Antek sam wpierw ołówkiem napisał mu jakie zdanie na kajecie, a Józef wodził piórem po rysunku, i na innym papierze powtarzał toż samo. Jeszcze to wtenczas Józef nie znał liter pisanych, bo Antek uczył go, jak wam powiedziałem, naprzekór. Raz zatem ten figlarz napisał mu ołówkiem: Stary ze mnie Józefisko, a głupi. Józef napisał to z paręset razy, na dziesięciu przynajmniéj papierach, które Antek na większe pośmiewisko porozdawał czeladzi.

Trudno szła ta nauka Józefowi, zwłaszcza

przy takim nauczycielu; ale czegóż to usilność nie może? Józef wszystkie wolne chwile poświęcał nauce, usilnie wpatrywał się, jak Antek pisze, jak pióro temperuje, słowem po paru latach nierównie lepiéj od Antka czytał i pisał.

Człowiek ów 42 roku życia, zobaczywszy po raz pierwszy modele dodawane do dziennika krawieckiego w języku francuzkim wychodzącego, to jest formy na krój, który zmienia się prawie co miesiąc, pojął je, umiał zastosować i wytłumaczył zaraz. Majster widząc, że jest rzetelny i zdolniejszy od innych, użył Józefa do kroju, wynagradzał go nierównie wyżéj, niż najlepszego czeladnika w swym warsztacie. Wówczas nie było już śmiechu z Józefa, stan jego polepszył się zupełnie. I w każdem rzemiośle, gdyby czeladź chciała nieco głowy połamać nad nauką, ot tak, aby dobrze czytać, pisać i znać rachunki, to nigdy chociaż i podżyłéj nie byłoby zapóźno rozwinąć umysł i prawdziwie zgłębić swą sztukę.

— To jużeś nam ojcze skończył swoję historyę? spytał jeden z czeladzi.

— Nie, słuchajcie daléj:

— Wcale nie! przerwało kilka głosów.

Do figlów Antka należały także listy adresowane do Józefa, które Antek sam pisał, niby od osób znajomych Józefowi, w różnych dziwacznych interesach. Józef w początkach nie mógł rozpoznać pisma Antka, chodził więc do tamtych osób, lub odpisywał im niby na ich żądania, a ztąd robił śmiech w warsztacie. Często Józef gniewał się na Antka, ale jakośto wybaczał mu te figle, za odnoszenie korzyści naukowej.

Majster poznawszy zdolności i rzetelność Józefa, używał go, jak wspominałem już, do kroju, ale zarazem powziął zamiar posyłać go na wielkie jarmarki krajowe z garderobą, do miast takich jak Łęczna, Łowicz i Skaryszew, bo był pewny, że Józef na grosz go nie skrzywdzi. I raz na środę po wstępnej niedzieli wysłał Józefa z garderobą do Skaryszewa, polecił mu wynajęcie tam sklepu na czas jarmarczny i dał do pomocy Antka. Figlarz ten będąc w Skaryszewie, powziął zamiar przesłania listu pocztą do Józefa, pod jego adresem do Warszawy, na koszt odbierającego i postanowił w powrocie ze Skaryszewa przez Radom oddać list przygotowany na pocztę w tém mieście. W tym celu zrobił w Skaryszewie dużą kopertę, odmiennym charakterem napisał adres Józefa w Warszawie, przyrządził lak i pieczątkę; szło mu tylko o papiery zapisane do włożenia w kopertę, które nastręczyła nowa okoliczność.

Już w dzień wyjazdu ze Skaryszewa, Józef układał pozostałą a niesprzedaną garderobę w duży tłómok, gdy wszedł do sklepu jakiś pan, a za nim służący w sutych galonach. Służący nazywał swego pana hrabią, który z pośpiechem żądał jakiegoś ubioru do podróży, następnie okazaną mu burkę przymierzył, spytał o cenę, wyjął pugilares i jakąś paczkę papierów z kieszeni; położył to wszystko na stole, obejrzał znów burkę, a później z roztargnieniem wyjął z pugilaresu żądaną kwotę pieniężną, poczem pugilares schował do kieszeni i z pośpiechem wyszedł ze sklepu, zapominając o papierach. Józef nie wiedział, że gość zostawił papiery w sklepie, jak również i służący hrabiego, ale Antek spostrzegł to i zauważał, że papiery te są objętości stosownej do zrobionej przez niego koperty. Gdy więc Józef zamykał drzwi za wychodzącymi, Antek schował papiery hrabiego, a następnie włożył je do koperty i korzystając z wyjścia Józefa na miasto, zapieczętował takową.

Józef wynalazł furmankę, i miał rzeczy do niej przenosić, gdy nagle drzwi otwierają się, i do izdebki zajazdu wchodzi znany już Józefowi hrabia, a za nim ten sam służący w galonach.

Hrabia spojrzał badawczo na Józefa, a widząc jego spokój, sam zmieszał się nieco—po chwili rzekł do Józefa.

— Wacpan wiesz zapewne, w jakim celu tu przychodzę?...

— Zupełnie jestem tego nieświadomy; sądzę jednak, że może ta burka...

Nie, nie!... oto powiedz mi wacpan, czyś po wyjściu mojem z twego sklepu w Skaryszewie, nie znalazł tam papierów, które zostawiłem u wacpana, wyjmując pugilares?

— Żadnych nie znalazłem papierów, odrzekł Józef, i nie mógł pan hrabia zostawić ich u mnie, gdyż po jego wyjściu ja sam wszystko sprzątałem i zapakowałem do wyjazdu.

— Dobrze, dobrze!... ale mówmy szczerze..... były tam papiery stanowiące ważne dokumenta do procesu, który prowadzę o znaczną sukcesyę— między papierami było złotych 1000, które miałem wraz z dokumentami posłać memu adwokatowi do Warszawy. Zatem weź sobie wacpan pieniądze, a mnie oddaj papiery; a jeżeliś je zniszczył, lękając się poszlaki, to powiedz prawdę, abym wiedział, czego się

trzymać. W każdym razie pieniądze są twoje, na to daję słowo honoru, ale wychodź ze mną szczerą prawdą. W razie przeciwnym, policya jest tu za drzwiami i czeka mego wezwania.

Antek słysząc przywiedzioną rozmowę, zadrżał ze strachu, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi, miał więc czas odzyskać krew zimną.

Józef w wyrazach szczerych skreślił swe położenie, okazał hrabiemu pieniądze, jakie miał przy sobie, aby się przekonał, czy jest w nich ilość papierów bankowych, mających jakie podobieństwo do tych, co były między zagubionemi papierami hrabiego. Wreszcie prosił, aby hrabia sprawdził bilans dochodów za sprzedaną garderobę, z zasobem pieniężnym wywiezionym z Warszawy, oraz z wydatkami, które poczynił w drodze, co wszystko było zapisywane, i czy przez to nie okaże się zbyteczny tysiąc złotych w jego pieniądzach—wkońcu, żeby kazał policyi zrobić najściślejszą rewizyę i polecił odprowadzić go do furmanki idącej do Warszawy, aby tym sposobem był przekonany, że ani grosza korzyści z krzywdą hrabiego nie uwozi z sobą.

Hrabia spojrzał się raz jeszcze badawczo na Józefa, wreszcie machnął ręką i nic nie mówiąc, wyszedł z pośpiechem z izdebki zajazdu.

Józef przybywszy do Warszawy, złożył rachunek majstrowi swojemu ze sprzedaży jarmarcznej i spokojnie zajęty był swą czynnością, gdy doniesiono mu, że bryftreger czeka na niego z listem z poczty, za który należy się opłaty kilka złotych. Józef lubo zdziwiony znakiem pocztowym z Radomia, tam bowiem nie miał żadnej familii, płaci jednak porto, otwiera list i znajduje na wstępie papiery stemplowe, zapisane w formie urzędowej z podpisami i pieczęciami— patrzy, ale to połacinie, zatem nic dojść nie może; czyta inny papier, wreszcie jakieś pozwy. Wszyscy śmieją się, wyjąwszy Antka, który radby się był pod ziemię schować, lękając się chwili, w której Józef domyśli się właściciela papierów. Czas ubiega, bryftreger odszedł już dawno, czeladź dowcipkuje, Józef dziwi się znaczeniu papierów i żałuje wydanych kilku złotych na porto listu, gdy otwiera ostatni papier i znajduje bilety bankowe.

— Pieniądze przy dokumentach, zawoła, następnie przegląda papier załączony przy pieniądzach, a noszący kształt listu, i czyta pierwsze wyrazy listu:

„Szanowny adwokacie dobrodzieju! załączam przy niniejszém złotych 1000 na dalsze prowadzenie sprawy i dowody żądane, jakoto: metrykę połacinie, dowód nadania tytułu hrabiego...

— Cóż to wszystko znaczy? spytał któryś z czeladzi, przerywając czytanie,

Józef obejrzał kopertę listu, następnie opowiedział czeladzi całe zajście z hrabią w Skaryszewie i w Radomiu, a w końcu rzekł do Antka:

—Ty łotrze! będziesz miał teraz do czynienia z hrabią; figiel ten bowiem jemu wyrządził więcéj kłopotu, niż mnie zmartwienia i wydatku. Teraz pozostaje mi wyszukanie adwokata według adresu przywiedzionego w pozwach, oddanie mu pieniędzy i dokumentów, a zarazem opowiedzenie rzeczywistego położenia.

Antek ze łzami prosił Józefa, aby go bronił od gniewu hrabiego, i miał to sobie przyrzeczonem.

Józef wyszukał adwokata, wręczył mu papiery i pieniądze, rzecz całą opowiedział, odwołał się na dowód do koperty pocztowéj, i że w razie potrzeby wszystka czeladź warsztatowa może zaręczyć, zkąd otrzymał te papiery i pieniądze, a w końcu dodał:

— Hrabia dawał mi w nagrodę 1000 złotych w Radomiu, abym tylko zwrócił mu dokumenta; dziś zwracam je wraz z pieniędzmi, których posiadanie traf mi nastręczył. Nagrody żadnéj przyjąć nie mogę, aby nie poddać się podejrzeniu poprzedniego zatajenia. Jednę tylko mam prośbę do hrabiego, aby winę doznanego kłopotu darował sprawcy jego Antkowi, który uczynił to przez pustotę nierozważną.

Adwokat napisał list do hrabiego o znalezionych dokumentach i pieniądzach, ze wszystkiemi szczegółami dotyczącemi się odszukania takowych.

Kilka tygodni upłynęło spokojnie, gdy dnia jednego Jozef spostrzegł wchodzącego do warsztatu służącego w galonach, tego samego, którego widział już w Skaryszewie i w Radomiu. Przybył on tu do Józefa, oznajmiając, że hrabia czeka go u siebie.

Józef pospieszył na wezwanie i hrabia oznajmił mu, że jest szczęśliwy, iż znalazły w nim człowieka tak rzetelnego. Objawił mu jednak, że prosząc o pobłażanie Antkowi, czyni temu chłopcu największą krzywdę, bo przez to stanie

się niepoprawnym w swych wadach — wreszcie oznajmił mu życzenie zrobienia Józefa kassyerem w swych dobrach, do czego łatwo się wprawi, obok znanéj rzetelności, która jest główną podstawą.

Urząd kassyera w wielkich dobrach, jak i u hrabiego, jest płatny 3000 złotych rocznie, a ordynarya i inne dogodności, warte drugie tyle na rok. Józef zatem przyjął z wdzięcznością projekt hrabiego, który o wiele byt jego polepszył.

Widziałem Józefa przed dwoma miesiącami w Warszawie; to istny wielmożny pan zrobił się z niego. Już lat siedm jest kassyerem— mówił mi, iż po kilkakroć dostał znaczne gratyfikacye od hrabiego, gdyż on sam przekonał się, że Józef rzetelnością swą zapobiega wielu nadużyciom.

— To już Antek powinien zostać kiedyś Jaśnie wielmożnym, wtrącił Franek, gdyż on był nauczycielem Józefa.

— Antek przypomina mi ciebie figlarzu, rzekł Jakób—lecz na cóż mu wyszło? Zapomniał prawie zupełnie czytać i pisać, pomimo, że będąc w terminie, chodził do szkoły Rzemieślniczo-Niedzielnéj, ale w niéj myślał tylko o figlach, I jakoś to przez lata poszła nauka w zapomnienie, a gdy przyszedł czas wyzwolić się na czeladnika, to dla braku świadectwa ze szkoły odmówiono mu wyzwolin w cechu, i dziś Antek poszedł w służbę. Mógłby to on wprawdzie i bez wyzwolin znaleźć gdzie robotę po znajomości, ale charakter jego wyrobił się najgorzéj. Z pobłażanych figlów zrodziła się w nim złośliwość, i dziś jest nienawidzony od swych współkolegów.

— Do ciebie mówię psotniku, rzekł Jakób do Franka, że jak będziesz myślał o figlach, to i nauka w las pójdzie, pomimo szkoły, bo ona sama nie nauczy, tylko trzeba przyłożyć starania.

Rzemieślnik w zawodzie swoim prawdziwe dla siebie odnieść może korzyści z posiadania nauki, za to ręczę, a czy komu czas potemu, to mógłbym przytoczyć zdanie fatra: *nigdy zapóźno*. Gdybym był równie szczęśliwy, jak poczciwy stary Jakób, gdyby słowa z posłyszanéj gawędki tu powtórzone, wywarły jaki wpływ na potrzebujących tego słuchaczach odczytów Czytelni w niejednym warsztacie, i ci wzięli się do nauki, a przez to szczęście sobie zgotowali, to byłbym prawdziwie wynagrodzonym za tę krótką pracę. Tymczasem cieszę się nadzieją, że Franek z pewnością wyjdzie na człowieka zasłużonego w swym fachu, i mówię sobie: nie było mu zapóźno.

Wychów zwierząt domowych.

I.

Zwierzęta w stanie natury pozostawione i wedle swéj woli postępujące, okazują instynkt do tak wysokiego stopnia posunięty, iż człowiek nie będąc tego naocznym świadkiem, nie uwierzyłby może wszystkiemu, cokolwiek nam historya rodu rzeczonych zwierząt przedstawia. Zkąd jednak pochodzi, że te same zwierzęta, u których zmyślność instynktowa w stanie dzikim tak zbawiennie działa, pozostając niby pod opieką człowieka, zamieniają takową na nieudolność, stają się bardziej gnuśnemi, leniwemi i złośliwemi? Ta przemiana naturalnego instynktu zwierząt pochodzi ztąd, iż ruchy ich zostają ścieśnione, wybór paszy odmówiony, a w widokach zaspokojenia potrzeb i ciągnienia korzyści przeznaczamy je do utrudzających prac, wystawiamy na rozliczne niewygody, przez co stają się czulszemi na zewnętrzne szkodliwe wpływy, ulegają wielu chorobom i ułomnościom, od których w stanie dzikim zupełnie są wolnemi.

Jeżeli człowiek, którego Opatrzność udarowała mocą wywierania swej władzy nieograniczonej nad każdem innem jestestwem żyjącem, ciągnie ztąd korzyści dla zaspokojenia pierwszych potrzeb życia; tenże sam człowiek mający niejako w swej mocy łączenie, rozplemianie i udoskonalenie zwierząt domowych, powinien także starać się zachować ich w należytym stanie zdrowia. On tylko sam może przepisać prawidła postępowania w tej mierze z naturą i instynktem zwierząt zgodne, przez co tak dla siebie, jak dla całego kraju przyniesie pożytek, bogactwo i do podźwignienia rolnictwa wielce się przyczyni.

Widzimy wszakże i sami nawet nie raz jesteśmy uczestnikami dotkliwych strat, jakie ponosim skutkiem rozlicznych chorób i upadku większych zwierząt gospodarczych; ochronienie zatem zwierząt zdrowych od chorób, jest rzeczą nierównie korzystniejszą i do wykonania łatwiejszą, niżeli samo leczenie; gdyż raz rozwinięte

choroby, doszedłszy do pewnego stopnia, częstokroć najtroskliwszemu nawet postępowaniu lekarskiemu się opierają.

Wiadomo wszakże każdemu, że zachowanie pewnych prawideł tyczących się porządku życia, zapobiega wielu chorobom, że posiadamy dokładne i trafne przepisy dyetetyczne do zachowania naszego zdrowia, a pomimo tego nie jesteśmy w stanie odwrócić wielu chorób i musimy się częstokroć udawać o pomoc, jakiej nam udziela medycyna; dlaczegóż więc nie jesteśmy tak samo skorzy w udzielaniu pomocy naszym zwierzętom zaraz w razie pojawienia się u nich choroby, lecz wprzódy szukamy pomocy i słuchamy rad owczarzy, pastuchów, kowali, stangretów, oprawców i t. p., którzy bez najmniejszego wyobrażenia o rzeczy uwodzą publiczność, i niekiedy na wielkie szkody narażają.

Taki sposób postępowania właściciela względem swego dobytku, obok nienależytego obchodzenia się w pielęgnowaniu i dozorowaniu, jest po największej części przyczyną corocznego umniejszania inwentarza w kraju, niepostąpienia naprzód z rasowością i zniszczenia sił fizycznych zwierząt, przez co i praca rolna doznaje przeszkody i dochowek ginie.

Najbardziej nagannem jest, że właściciele zwierząt w widokach li tylko chwilowego zysku przeciążają je nad siły pracą, przez co, nietylko z wyczerpania sił powstaje ochudnienie i zawiązują się w nich mnogie niebezpieczne, nieuleczone choroby, lecz sami na utratę zwierzęcia narażeni zostają. Najzgubniejsze skutki wywiera rzeczony postępek u młodych zwierząt w trakcie wykształcenia ciała będących, które jeszcze mlecznych zębów nie pozrzucały.

Że nad siły przeciążona praca, szkodliwy na zwierzę wywiera wpływ, można się przekonać ztąd, iż zwierzęta po silnem zmocowaniu się przekładają wypoczynek nad najlepszą nawet paszę, i dlatego sprowadzone do stajen zaraz się pokładają.

W ogólności, każde złe obchodzenie się ze zwierzętami jest karygodnem, wskazuje zły charakter człowieka, i wymaga przedsięwzięcia energicznych środków ku położeniu tamy tym praktykującym się dotąd zdrożnościom.

W wielu krajach z uwagi, że dręczenie i niszczenie zwierząt przeciążoną pracą, jest główną przyczyną częstego ich upadku, rozciągnięto już nad niemi opiekę; tak np. prawodawstwo w Anglii, Niemczech, Szwajcaryi, a nawet w Ameryce ustanowiło w tym względzie surowe kary.

Lubo bydło rogate w stosunku do sposobu traktowania, dozoru i pielęgnowania onego, nie tyle nam czyni przyjemności, co konie, i mniej od ostatnich posiada szlachetnych przymiotów, wszelako z innéj strony rzecz tę uważając, stanowi ono nieprzerwany węzeł pomyślnego powodzenia gospodarza wiejskiego i dostarcza przedmiotów ku zaspokojeniu najpierwszych, niezbędnych potrzeb życia ludzkiego.

Bydło rogate zatem, tak samo jak większa część innych zwierząt, jest stworzeniem, które od sposobu wychowania, obchodzenia się z niem i okoliczności miejscowych zupełnie zależy; lecz tem prędzéj staje się niedołężnem, jeżeli surowo i źle traktowanem będzie—gdy tymczasem przez umiarkowane użycie onego do posług, szybki dla naszéj wygody i korzyści czyni postęp, staje się wcale innem zwierzęciem, a przez łagodne, pieszczotliwe obchodzenie się z niem, pewnego rodzaju przychylności do człowieka nabierać się zdaje.

Za przykład tego mogą posłużyć kraje, gdzie bydło rogate rozmaite usługi załatwiać musi, i ku temu celowi starannie bywa obuczanem—tak np. w głębi Afryki, woły przed ukończeniem pierwszego roku życia bywają do jazdy pod wierzch przyuczane, i tym końcem mieszkańcy tamtejsi przedziurawiają im chrześć środkową nozdrza, a w świeży otwór zasadzają mocny, gładki kij, po jednéj stronie widełkowato zakończony, po obu zaś końcach tegoż przymocowany jest dosyć długi rzemień, który miejsce cugli zastępuje. Jednę skórkę owczą wraz z wełną kładą napoprzek grzbietu, a drugą na grzbiet; przymocowane są one długim rzemieniem nakształt popręgu, i to służy w miejsce siodła. Zanim rany się zagoją, ujeżdżają zwierzę i po 2ch tygodniach wyuczania mają je tak posłuszne, że wedle życzenia jeźdzca powodować się daje. Tresowane tym sposobem woły, chodzą stępą, kłusem i czwałem (galop).

Bydło południowej Afryki co do zmyślności, ma pierwszeństwo przed każdem innem. Pojętność jego zdaje się przewyższać wszystko, cośmy względem koni słyszeli i widzieli, zbli-

żają się one niemal do najzmyślniejszego psa. U *Hottentotów* wspomnione woły miejsce sług zastępują, oraz są towarzyszami ich przyjemności i trudów.

Kafry używają ich do pilnowania stad owczych i dla ochrony przeciw nieprzyjaciołom.

Wół tego rodzaju znany pod nazwiskiem *Bakely*, stoi obok owiec pasących się w polu i gryzie trawę; zawsze uważny na skinienie swego pana, biegnie w okrąg pola i zgania rozproszone owce do gromady, przyczem wzbrania przystępu złodziejom i obcym zwierzętom.

Nietylko, że owe *Bakely* nikomu zbliżać się nie dozwalają, ale nadto do walki przeciw nieprzyjaciołom są wyuczone. Każda armia Hottentotów posiada pewne stado takich wołów, których na nieprzyjaciela puszczają — woły te biegną naprzód i każdego, co im drogę zachodzi, rzucają silnie rogami oziemię, a nogami depczą.

Wreszcie, na cóż nam szukać odległych stron Afryki, kiedy obecnie sprowadzono do miasta Warszawy wołu szwajcarskiego, którego umieszczono w umyślnie do tego wystawionej budzie przy ulicy Nalewki, naprzeciwko ogrodu Krasińskich i za opłatą pokazują. Wół ten obok olbrzymiego swego wzrostu ważący 4,293 funtów, tak jest wyuczony, że pali cygara i wszelkie rozkazy swego pana z łatwością wykonywa.

O farbowaniu drzewa.

I.

Celem sztuki farbowania drzewa jest nadanie przyjemniejszego oku wejrzenia, wykończonym stolarskim albo tokarskim wyrobom; a oprócz tego zamiarem farbującego bywa często usiłowanie nadania drzewu krajowemu pozoru zagranicznego. Zwykle, przygotowany należycie płyn farbujący wciera się w powierzchnię przedmiotu nagorąco lub zimno; sztuczki tylko drobniejsze, mogą niekiedy być gotowane w kąpieli farbiarskiéj, a wtedy przyjmą one kolor pełniejszy i głębiej wpojony.

Przedewszystkiem powierzchnia drzewa po wyheblowaniu skrobie się cyklinką; poczem wciera się w nią płyn farbujący pęzlem lub gąbką, suszy, a następnie szlifuje ostrożnie i płaską i równą powierzchnią pumexu, skrapiając jak wiadomo, drzewo maleńką ilością oleju.

Ponieważ przez szlifowanie pumexem, cienka warstwa drzewa ufarbowanego niekiedy przetrzéć się może, dla téj więc przyczyny niektórzy stolarze dokonywają szlifowania pumexem, polewając powierzchnię drzewa podczas téj roboty wywarem farbierskim, tym samym, który już raz poprzednio był wcierany.

Praktyki tego rodzaju radzić nie można, albowiem tarcie powierzchni drewnianéj pumexem, po zmoczeniu jéj płynem wodnym, nigdy tak dobréj gładkości nie wyda, jaka wypada przy użyciu do tego celu oleju.

Szlifowanie nie może się odbyć przed farbowaniem; albowiem po dokonaniu téj ostatniej roboty wszelkie włókienka przygniecione cyklinką do powierzchni drzewa, pęcznieją i odstają; należy więc je koniecznie po ufarbowaniu przez szlifowanie wygładzić.

Nie wszystkie drzewa przyjmują równie dobrze i jednostajnie farbę; zależy to od niejednakiéj textury ich włókien, tudzież od obcych materyj, które osiadły w ich tkance. Chcąc naśladować krajowem drzewo zagraniczne, należy w pierwszem uważać na flader podobny do drugiego; bez tego względu sama farba nie doprowadzi do celu.

Jeśli idzie nam głównie o jednostajność koloru na całem tle drzewnem, potrzeba w tym przypadku wybierać gatunki drzew posiadające tkankę drobną i jednostajnie zbitą; takiemi są np. grusza, lipa, brzoza, kasztan dziki i t. p. Ma się rozumieć, iż tylko białe drzewa mogą przyjąć czysto, jasne kolory.

Przed mającem nastąpić farbowaniem, powinno drzewo przez dni parę być mocno wysuszone. Farbowanie zimnym płynem używa się dla bladych odcieni; gorącym dla pełnych i więcej nasyconych.

Po tych ogólnych uwagach przystąpimy następnie do szczegółowych przepisów farbowania na rozmaite kolory.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 27 stycznia (8 lutego) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.